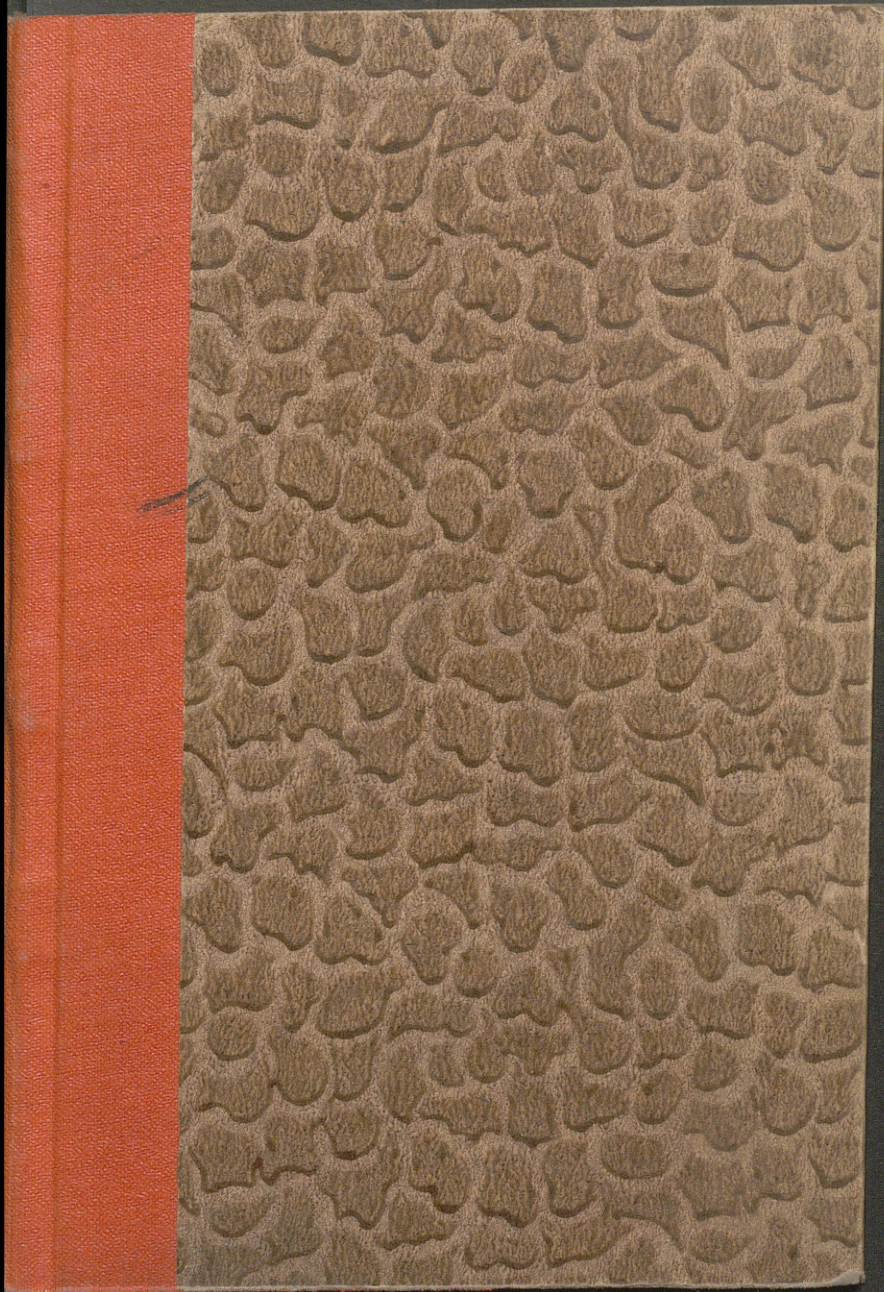
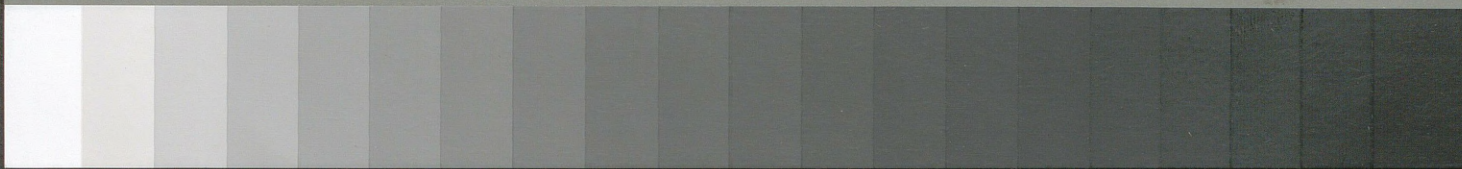


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





561. III. 569 *251-*
ZAJMUJĄCE CZYTANKI Nr. 343

Anna Piskorska

EWA BIAŁYNIA

praca

LEGJONY POLSKIE

W WOJNACH NAPOLEOŃSKICH

1797 — 1803

LEGJA WŁOSKA I NADDUNAJSKA



1918

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

LUBLIN — NAMIESTNIKOWSKA 23.

355,91 (438): 93(438)9



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej



10454 / 1

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben durch die Kais. Deutsche
Presseabteilung Warschau, den 16/IV 1918. T.-N^o 9843. Dr. N^o 817.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

1955 W 659/134

Bibliotekim. Zielińskich

W S T Ę P.

W tej samej chwili, gdy znikło z powierzchni ziemi państwo Polskie, zrodziło się w sercach Polaków marzenie o odzyskaniu go.

Przeszło sto lat minęło, odkąd nadzieja posiadania niepodległości przyświeca Polakom. Najjaśniej jednak widnieje wtedy, najżywszą zdaje się mienić barwą, najbliższą się staje, gdy żyją w Polsce tacy, co krew jej w ofierze składają.

Jak paciorki barwnego różańca, przewijają się nam przed oczyma imiona tych ludzi, co życia nie szczędząc, wolność ojczyźnie naszej zdobyć próbowali...

I jak sen cudowny, snuje się przed nami legenda pierwszych polskich legionów. Oto na dalekiej obczyźnie powstaje na zew wodza szara masa żołnierstwa polskiego... Idą pod znakiem Orła Białego walczyć za sprawę wolności. Z pod strzech włościańskich, od warsztatów, z dworzków szlacheckich zrywają się, jak młode orlęta, by pokazać światu, że Polska żyje i walczy...

Związani braterską miłością, ożywieni jednym duchem, rozslawiają imię polskie przed światem.

Poznajmy ich walki, trudy i cierpienia.

PO ROZBIORACH.

Na polach maciejówickich padł ranny Naczelnik Kościuszko. Kto zginął w tym dniu okropnym, ten wolnym opuścił ziemię, kto klęskę przeżył, ten stawał się niewolnikiem.

Zabrano Polakom ziemię, rząd, króla; nie zdołano jednak zabić ducha w narodzie. Poczucie, że kraj jest w niewoli, budziło ze snu spokojnych ludzi, a tym, którzy ojczyznę gorąco miłowali, nie pozwalało myśleć o niczem innym, jak o jej wyzwoleniu.

We wszystkich trzech dzielnicach Polski przycichły zewnętrzne gwary i rozterki. Błada rozpacz odrazu sprowadzała chęć zemsty.

Jednako gorąco biło serce polskie w „pruskiej“ Warszawie, „austrijackim“ Krakowie i „rosyjskim“ Wilnie. Granice, wyznaczane na żywym ciele Polski, gorzkimi łzami były oblewane. Wyciągały się ręce polskie do braci z innego zaboru z niemem błaganiem: „Pamiętajcie, że i na nas, jak na prawych Polaków, liczyć możecie“.

Ale wszystkie te uczucia głęboko się w sercach ukryły. Ludzie żyli oszołomieni i ogłuszeni ciosem, jaki w nich uderzył. Wielu w ucieście i zabawach szukało zapomnienia. Inni w beznaziejnej pograżyli się rozpaczy.

Nikomu tak ciężko nie było, jak żołnierzom. Oto przed rokiem jeszcze szli pod znakami Naczelnika w białej sukmance, oto jaśniały pola zwycięskich Raclawic, brzmiała nad szeregami nuta narodowej pieśni. A dziś? Żołnierz musiał w każdej chwili odczuwać gorycze niewoli. On nie mógł szukać zapomnienia w domu rodzinnym, w gronie przyjaciół. Jego obca przemoc odrazu zakula w kajdany. Wszyscy prawie zna-

leźli się we wrogich armjach. Kto się buntował, tego osadzano w twierdzach. Musiał zacząć słuchać żołnierz w wojsku rosyjskiem, pruskiem, austryjackiem komendy w obcym języku. Zamiast łagodnego głosu naczelnika i poważnych słów: „Obywatelu“, słyszał żołnierz krzyk i urągania, a na plecy jego często spadały mocne razy. A to jeszcze zwiększało rozpacz żołnierzy, że nie mogli doli tej znosić wspólnie. Porozrywano dawne pułki i brygady. „Galicjanie“ znaleźli się w wojsku austryjackiem, obywatele z zaboru pruskiego — w pruskiem, mieszkańcy Litwy, Wołynia, Podola, Ukrainy — w rosyjskiem.

Taki był los żołnierzy, bohaterów Kościuszki.

Oficerom działo się lepiej. Wielu z nich, ci, którzy żyć mieli z czego, wystąpiło z wojska i pod domowe powróciło strzechy. Tak wrócił ks. Józef Poniatowski i w pałacu swoim w Warszawie wesołe wiódł życie, tak powrócił do wioski swej w zaborze pruskim Henryk Dąbrowski, by w ciszy domowej rozmyślać o nowych bojach.

Ale wielu nie miało dokąd się schronić, a przeżyć nie mogło myśli, by w obcym służyć wojsku. Ci ratowali się ucieczką. Wielu udało się do Drezna i Lipska. Inni szukali przytułku we Włoszech i w odległej Francji. Ale cóż mieli zrobić ci, co nie mieli środków na duże podróże, na których czyhały straże graniczne i wydawały w ręce komendantów wojskowych! Jeden z gorętszych patryjotów, generał Denisko, wezwał tych wszystkich do Wołoszczyzny, ziemi niegdyś Polsce hołdującej, a sąsiadującej z nią od południa od strony Podola i Galicji. Tu mieli znaleźć opiekę zbiegowie z wojska austryjackiego. I ciągnęli tam żołnierze z całej Galicji, nawołując się wzajemnie: „Kto kocha ojczyznę, niech idzie na Wołoszczyznę“. Wszyscy czuli, że trzeba coś z tymi żołnierzami zrobić, powrócić ich służbie ojczystej, a ich zapal i gorące chęci wyzyskać dla wrócenia wolności Polsce. Należało pomyśleć

o miejscu, gdzieby bezpiecznie uzbroić się można, gdzieby się pomoc i środki pieniężne znalazły.

I wtedy to oczy wszystkich patrijotów zwróciły się na młodą, odradzającą się Francję.

W tym samym czasie, kiedy Polska przeżywała rozbiory, wojny z Moskwą, ale i czasy zgody wewnętrznej, czasy, kiedy to „król z narodem, naród z królem“ ustanawiali Konstytucję 3 maja, Francja przeżyła t. zw. „wielką rewolucję“.

Od wieków we Francji rządził król bez pomocy i rady narodu. Wolno mu było wypowiadać wojnę lub nakładać podatki bez zezwolenia posłów, wybranych z pośród narodu. W Polsce każdy szlachcic miał prawo nie zgodzić się na nowe prawa, we Francji król nikogo o zdanie nie pytał. Nakładał też ogromne podatki na ubogą ludność, a pieniądze, stąd zdobyte, szły nie na poprawienie losu narodu, ale na uczty i zabawy królewskie, na utrzymanie wspaniałego dworu, na stroje i przyjemności.

I powoli we Francji rozpoczęła się nędza i głód. Marli z głodu chłopci, ale najciężej było mieszkańcom miast, rzemieślnikom, robotnikom i innym. Chleb był coraz droższy, a pieniądze coraz mniej. Cierpieli nędzę wszyscy, działo się dobrze tylko tym, co mieszkali przy dworze królewskim. Długo król francuski próbował nie słyszeć jęków poddanych, tłumić bunty, ale w końcu zerwała się burza i fala rewolucji zalała tron królewski. Król i królowa zostali ścięci z wyroku ludu, dali głowę pod nóż wszyscy wyżsi dostojnicy Francji. Lat kilka trwały walki i zamieszki w kraju. Rządy zmieniały się ciągle i przechodziły z rąk do rąk. Zaniepokoiły się sprawami rewolucji francuskiej wszystkie rządy Europy. Bały się, by ich ludy nie poszły za przykładem Francji.

Anglja, Austrja, Prusy i Rosja połączyły się w t. zw. „koalicję“ i postanowiły zgnębić rewo-

lucyjną Francję, a na tronie jej osadzić krewnych dawnego króla.

Olbrzymie armje koalicyjne ruszyły nad granice Rzeczypospolitej francuskiej.

Kto mógł, ten śpieszył we Francji do obrony kraju. Zaniechano kłótni i waśni. Sprawa wolności ojczyzny była dla wszystkich najważniejszą. Najszlachetniejsi Francuzi znaleźli się w szeregach. Wnosili oni ze sobą do wojska zasady równości i braterstwa. Nikomu nie wolno było wynosić się nad drugiego. Żołnierz i oficer musieli mówić do siebie: „Obywatelu“. Bić żołnierza nie było wolno. Na sztandarach napisane były hasła: „wolność, równość i braterstwo“. Głosiła Francja, że walczy za sprawę wszystkich ludów, że pragnie wyzwolenia ich z pod jarzma srogich rządów, że uznaje prawo każdego narodu do wolności i niepodległości.

Szerokiem echem rozległy się te słowa po całym świecie, a najwięcej oddźwięku znalazły tam, gdzie byli cierpiący i stroskani, gdzie ludy jęczały w niewoli. Z radością przyjęła odrodzenie Francji Polska. Tym wszystkim, co z kraju uciekać musieli lub chcieli, zajaśniała zbawienna myśl: „Do Francji!“

Do Paryża ściągać zaczęli zbiegowie z różnych okolic Polski i układać się z rządem. Wszakże Francja walczyła z trzema wrogami Polski! Jej pomóż, to znaczyło bić Moskala, Prusaka, Austryjaka! Zwyciężyć to znaczyło powrócić do wolnego kraju.

Patryjota Wybicki zwracać się zaczął ze sprawami Polaków do rządu francuskiego. Kto mógł tylko, ten próbował obmyśleć coś, coby zapewniło Polsce udział w wojnie. Od roku 1795 wrzało na zebraniach Polaków w Paryżu. Brakło kogoś, ktoby umiał wszystkich poprowadzić. I wtedy myśl Wybickiego i innych patryjotów zwróciła się ku Henrykowi Dąbrowskiemu, bohaterowi walk kościuszkowskich.

On sam ciągle snuł plany dalszych walk. Ani na chwilę nie wygasł w nim żar miłości ku ojczyźnie, miłości, skłonnej do ofiar i gotowej do boju.

Na wezwanie rodaków pośpieszył do Paryża i w październiku 1796 r. opracował wspólnie z Wybickim plan utworzenia legionów polskich, pomagających Francji. Proponował, by ze zgłaszających się ochotników i z jeńców austrijskich, Polaków, branych do niewoli przez wojska francuskie, utworzyć oddziały polskie. Walczyć one miały przy boku wojska francuskiego, a w razie pomyślnych okoliczności przedrzeć się do Polski i tam wzniecić powstanie.

Plan ten podobał się rządowi francuskiemu. Według prawa jednak nie wolno było do wojska francuskiego przyjmować pułków cudzoziemskich. Postanowiono więc utworzyć legjony polskie przy jednej z nowopowstałych, przez Francję z niewoli austrijskiej wydobytych, rzeczpospolitych włoskich. W listopadzie jeszcze wyjeżdża do Włoch Dąbrowski, by omówić sprawy przyszłych legionów z komendantem armji francuskiej we Włoszech, generałem Napoleonem Bonaparte.

Oto dwa lata zaledwie minęły od Maciejowic, wzięcia Warszawy, rzezi Pragi! Rodzi się nowa, niepodległa Polska, zaczynają ją zdaleka od kraju, na obczyźnie, tworzyć najlepsi jej synowie. Dusza więc narodu polskiego nie ginie w rozbiorach, przycicha jeno na chwilę, by wzniecić nowe żary i płomienie. Przenosi się do wojska, między szare szeregi żołnierskie, które ochraniać ją będą pierśią i krwią własną, by ją kiedyś czystą i nieskalaną powrócić ojczyźnie.

LEGJONY WE WŁOSZECH.

Zwycięski wódz Francuzów witał we włoskim obozie pierwszego wysłańca Polski, Dąbrowskiego. Po długich naradach polecono Dąbrowskiemu udać się do rządu rzeczypospolitej lombardzkiej i przedstawić jej plan legjonów. Bonaparte miał udzielić poparcia i przyjąć legjony pod swą komendę.

W styczniu 1797 r. stanęła ostateczna umowa między Dąbrowskim, jako przedstawicielem swych rodaków, a rządem Lombardji. Na mocy tej umowy legjony zostawały oddziałami polskimi, pomagającymi Lombardji do zachowania jej niepodległości. Mundury, oznaki zostawały polskie. Na epoletach tylko miał widnieć włoski napis: „Ludzie wolni są braćmi”, ozdobiony kokardą o barwach francuskich. Komenda miała być w języku polskim i w ręku wyższych wojskowych Polaków. Legjony więc stać się miały zaczątkiem przyszłej armji polskiej, wolnej i niezależnej. Na czele ich stawał gen. Henryk Dąbrowski.

W kilka dni po podpisaniu umowy z rządem lombardzkim wydał Dąbrowski odezwę do rodaków, wzywającą ich w szeregi legjonów.

„Wierny Ojczyźnie do ostatniego momentu walczyłem za jej wolność pod nieśmiertelnym Kościuszką. Upadła ona pod przemocą i nie zostaje nam, jak pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli nasze chorągwie zwycięskie pod Dubienką, Raławicami, Warszawą i Wilnem.

„Polacy, nadzieja powstaje. Francja zwycięża. Ona się bije za sprawę narodów. Starajmy się osłabić jej nieprzyjaciół.

„Francja pozwala nam schronienia. Czekaając lepszych losów dla kraju naszego, idźmy pod jej chorągwie. Te są oznaką honoru i zwycięstwa.

„Legjony Polskie formują się we Włoszech, na tej ziemi, niegdyś świątyni wolności. Już oficerowie i żołnierze, towarzysze trudów waszych i męstwa, są ze mną, już się bataljony formują. Przybywajcie, koledzy, rzucajcie broń, którą was nosić przymuszono. Bijmy się za sprawę wspólną wszystkich narodów, za wolność, pod walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch.

„Tryumfy Rzeczypospolitej francuskiej są je-dyną naszą nadzieją. Za jej pomocą i jej sojuszników może zobaczymy jeszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili“.

Rząd lombardzki zaś wzywał gorącemi słowy:

„Śpieszcie do nas, drodzy Polacy! Jak braci was przyjmiemy. Wspólną z nami będziecie mieć ojczyznę, dopokąd czas, może już niedaleki, nie przyniesie wam chwili szczęśliwej, w której ujrzycie z radością swe rodziny i jako zwycięzcy odbudujecie swoją ojczyznę“.

Na zew ukochanego generała śpieszyć poczęli wszyscy. Z radością witali jeńcy austrijaccy otwarcie drzwi więziennych i powrót do wojska ojczystego. Z kraju, z Wołoszczyzny, z Turcji, zewsząd przedzierały się do Lombardji odważniejsze jednostki, a kto przedostać się nie mógł, ten przysyłał wodzowi gorące zapewnienia, że przy pierwszej nadarzającej się sposobności przybędzie pod znak Białego Orła.

O setki mil od ojczyzny, w Medjolanie zaczęły przebiegać ulice grupki żołnierzy polskich, radosne, nawołujące się ojczystą mową.

W marcu pierwszy legjon, liczący dopiero 2 tysiące ludzi, rozlokował się w Mantui. Tu przybyła odrazu większa liczba jeńców, wyzwolonych z pod wrogiego jarzma. Radośnie śmiały się oczy generała, gdy patrzył na rosnące z dnia na dzień szeregi, na dawnych kościuszkowskich wiarusów, odżywiających na nowo pod czystym niebem Włoch. Mijały tygodnie na organizowaniu się legjonów. Pierwsze walki staczano z drob-

nymi oddziałkami austrijackimi lub bandami rozbójniczymi. Nagle nadeszła do Mantui wieść, że Bonaparte wyrusza na Austriaków, na Wiedeń i dalej może!... Zadrżały serca żołnierskie. Oto idą do kraju: poprzez Alpy, doliny Austrii i Moraw, Karpaty, przedrą się do kraju rodzinnego i obudzą biedną Galicję pieśnią radosną, od gór idącą! Zatrzepoczą skrzydła polskich chorągiewek od Karpat po Kraków stary! Ruszy się ziemia krakowska i stanie się kolebką odrodzonej ojczyzny! Rzuca broń ci, co jeszcze gniją w szeregach austriackich! Przedrą się zbiegowie z Wołoszczyzny. Zapali się południe kraju, a od niego pójdzie pożar nad Wartę, Wisłę, Bug i Niemen!

Płoneły myślami takimi głowy legionistów. Marsz ku północy — jakoś nogi lżej i lepiej niosą. Żołnierz nie czuje zmęczenia, bo wie, że jeszcze jeden marsz, jedna bitwa, a ujrzy zagony ojczyste. Szli za wojskiem patryjoci polscy, dzieląc z niem radość i nadzieje. Staruszek Wybicki układa pieśni żołnierskie, muzyk Ogiński nutę dodaje. I oto w powszechnym zapale i uniesieniu pieśń w dzień jeden przebiega szeregi i staje się hymnem radosnym narodowym:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła
Mocą odbierzemy.
Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za Twoim przewodem
Złączym się z narodem!

Raźniej iść pod tę nową narodową nutę, a słowa niosą otuchę i nadzieje. I gdy oczy żołnierskie zdawały się już dostrzegać strzechy domowe, choć nie opuściły jeszcze ziemi włoskiej, nagle, jak grom, nadszedł rozkaz wstrzymania po-

chodu: Francja zawarła chwilowy pokój z Austrią. Pierwszy zawód dotknął boleśnie szeregi. Ale czuwał nad nimi wódz serdeczny. „Cierpliwości—mówił—nie dziś, to jutro, przecierpieć trzeba, by ojczyźnie wolność wrócić“.

I żołnierze wytrwali. Jakże ciężki i męczący był marsz w drodze powrotnej w głąb kraju włońskiego! Tymczasem w Galicji zawrzało. Oczekiwali tam patryjoci lada dzień wkroczenia legionów, a oto nadzieja upadła. Austryjacy rozpoczęli aresztowania. Na Wołoszczyźnie także oczekiwano hasła. Zdawało się, że lada dzień nadejdą wojska polskie. Tymczasem znikąd wieści. Dzielny generał Denisko odważył się sam z garstką ludzi rozpocząć powstanie, nim Dąbrowski nadejdzie, i przekroczył granicę galicyjską. Ale Austryjacy bacznością na niego zwracali uwagę. Oddział jego został otoczony, przywódcy wywieszani, żołnierze zagnani do niewoli, Denisko zaledwie sam z kilku towarzyszami uratował się ucieczką. Rozpacz ogarnęła tych, co na wschodzie pod hasłami walki za ojczyznę się łączyli. Ścigani przez Austryjaków, znajdowali opiekę w Turcji u dzielnego kapitana Rymkiewicza. W ciągu kilku tygodni udało się jednak prawie wszystkich przewieźć do Włoch i wcielić w bratnie szeregi.

Tymczasem legjoniści staczać musieli pierwsze krwawe boje, tłumiąc rozruchy w Weronie i Wenecji. Pocięła pierwsza krew polska, która miała zaświadczyć przed światem, że to znowu Polska walczy.

Chociaż powrót do kraju zdawał się dalekim jeszcze, a położenie i walki były coraz trudniejsze, szeregi zwiększały się ciągle. Utworzono dwa legjony po 3 bataljony każdy. Osobno istniały oddziały artylerji pod szefem Aksamitowskim.

Rozpoczęto szereg potyczek mniejszych, w których legjony odznaczały się walecznością. Znowu walczone z Austryjakiem, co dodawało otuchy żołnierzom. Ale późną jesienią Bonaparte zawarł

nowy pokój i znowu zgasły nadzieje. Legjony zostawały we Włoszech, jako pomoc dla nowej rzeczypospolitej (nazwa Lombardji została zmieniona) Cisalpińskiej. Jedyłą nagrodą były słowa Bonapartego: „Trzeba o nich mówić — waleczne legjony, bo ci Polacy zawsze biją się, jak djabli!“

Niebawem znowu mieli dowieść legjoniści prawdy słów naczelnego wodza. Pierwsza legja pod wodzą Kniaziewiczza i z Dąbrowskim samym na czele otrzymała rozkaz udania się na południe nad granice państwa papieskiego. Burzyli się w Rzymie patryjoci włoscy i wysyłali gońców do Bonapartego z prośbą o pomoc przeciw okrutnemu rządowi.

Walkę rozpoczął Dąbrowski ze swym dzielnym oddziałem. W szalonym ataku zdobyto twierdzę San Leo, w kilku gwałtownych marszach dwa inne miasta. Dąbrowski rozłożył się obozem w Rimini, na drodze do Rzymu. Zwycięstwa legjonów pozwoliły Francji pomyśleć o zdobyciu tej stolicy świata. Niebawem starożytne miasto dostało się w ręce francuskie. Ogłoszono utworzenie rzeczypospolitej rzymskiej. Należało tam posłać żołnierza dzielnego, ale sumiennego i uczciwego. Wybrano legjon pierwszy z Dąbrowskim. Polacy stanęli w kilka dni w sławnej stolicy świata. „Do Rzymu zbliżali się w niezwykle podniosłym nastroju ducha. Starali się przybrać okazałą postać, silną nogą stąpając po gruzach znakomitej przeszłości“¹⁾. Dnia 3 maja 1798 r. wkroczone trzema kolumnami do miasta i zgromadzono się na Kapitolu²⁾. Tam przemówił do żołnierzy Dąbrowski: „Stanęliście na szczycie góry, na której tyle wieków błyszczała sława. Ona i wam towarzyszy. Pamiętajcie, w jakim to dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiej dla was pamiątki³⁾. Niech gołdo

¹⁾ Kukiel: „Dzieje oręża“.

²⁾ Wzgórze i zamek, gdzie w starożytnych czasach mieścił się rząd rzymski.

³⁾ 3 maja — dzień ogłoszenia Konstytucji w 1791 r.

sławy i miłości kraju w sercach waszych na zawsze pozostanie“.

W Loretto zdobył dla legionów Dąbrowski sztandar turecki, zdobyty kiedyś przez Sobieskiego pod Wiedniem, a ofiarowany przez niego papieżowi, w Rzymie ofiarowano mu szablę po Janie Sobieskim. Pamiątki te odtąd stale towarzyszyły legionom.

Niebawem Dąbrowski zmuszony był Rzym opuścić. Zdał więc komendę Kniaziewiczowi, a sam udał się do legii drugiej, do Medjolanu.

Gdy pierwsza legja zdobywała wawrzyny zwycięstwa, druga, zajęta tylko drobnymi utarczkami, poświęcała czas na pracę wewnątrz wojska. Stworzono szkoły dla tych żołnierzy, co czytać nie umieli, i wyższe, w których uczono języków i matematyki. Nauczycielami byli: Wybicki, poeta Cyprjan Godebski i komendant legji drugiej, Rymkiewicz. Wydawano pismo dla żołnierzy: „Dekadę Legji“ i starano się w niem upewnić żołnierzy, że nie na darmo krew przelewają, że kraj cały ma na nich oczy zwrócone, że wolna Polska przeniosła się do ich obozu. Krzepił się żołnierz radami i wskazówkami starszych patryjotów, kochał i szanował swych dowódców, którzy czcili w nim „brata“ i „obywatela“. Braterstwo wszystkie pułki łączyło między sobą i do kraju przenikała wieść o podniosłym nastroju legionów. Zdawało się, że to duch Naczelnika czuwa nad tym najmłodszym jego żołnierzem, by od zła uchronić. I tą pracą nad sobą i tęsknotą za ojczyzną przywołano jakby najszlachetniejszego z synów Polski, by drżącą już ręką pobłogosławił legjony. Latem 1798 stanął Tadeusz Kościuszko na ziemi francuskiej¹⁾, witany radośnie przez rząd Rzeczypospolitej. Na powitanie i hołd legionów odpowiedział Naczelnik:

¹⁾ Po bitwie pod Maciejowicami więziony był przez Moskali, potem, uwolniony przez cara Pawła, mieszkał w Ameryce, skąd sprowadziła go do Europy wieść o legionach.

„Bracia koledzy!

„Miłość wasza dla ojczyzny i zaufanie, które pokładacie w wiernem obowiązku, przez naród na mnie nałożonych, zachowaniu, wycisnęły z oczu mych łzy radosnego uczucia i chcę być zawsze i nierozdzielnie z wami, pragnę z wami się złączyć dla służenia wspólnej ojczyźnie, skoro okoliczności te miłą porę nam wskażą.

„Znam to, kochani koledzy, i wyznaję chętnie przed światem, iż cokolwiek uczyniłem dla kraju, to wspólnej pracy, wspólnym moim z Wami usiłowaniami przypisać należy. Pełen szacunku dla Was, korzystam z pierwszych momentów odzyskanej prawdziwej wolności, abym Wam najuroczyściej oświadczył wdzięczność moją i narodu, z którego woli miałem honor Wam przewodniczyć. Równie z Wami biłem się za ojczyznę, równie z wami cierpiałem, równie z Wami odzyskać spodziewam się. Ta nadzieja jest jedyną życia mojego słodyczą, dla niej jedynie przeznaczaniu, które mi go zachowało, dziękuję.

„Tymczasem, koledzy, nim godzina użycia męstwa i zdatności Waszej dla ojczyzny wybije, przyjmijcie moje dla Was podziękowanie, pochodzące ze szczerego serca, i chciejcie mnie zaszczycać Waszą przyjaźnią. Zdrowie i braterstwo.

Tadeusz Kościuszko“.

List ten był pokrzepieniem i otuchą dla legjonistów. Oto mieli poświadczenie tego, że ich trudy nie idą na marne, że je Naczelnik ocenia, że jego ręka błogosławi szeregi.

Tymczasem nowe boje czekały legjony. Przeciwno Napoleonowi utworzyła się znowu koalicja.

Nie przerażała myśl o walce żołnierzy polskich. Przeciwnie, wierzyli wszyscy głęboko, że, im krwawsze, a bardziej zwycięskie będą boje, tem bliższa chwila powrotu do ojczyzny. Każdą wieść o zatargu między Austrią i Rosją a Francją radośnie przyjmowali żołnierze. Nową walkę

wszczął sam Bonaparte. Postanowił pokonać największego wroga Francji, Anglię, w jej kolonjach i dlatego urządził wyprawę do Egiptu. Nie wzięły w niej udziału legjony, zaledwie kilku Polaków towarzyszyło wodzowi. Przy boku Bonapartego przebywał już od lat kilku młody Polak, Józef Sułkowski. Jego zdolności i szlachetna dusza wyniosły go wysoko. Całą swą służbą dał dowód niezwykłego męstwa i czystości charakteru, godny przedstawiciel swej ojczyzny. Nie wchodził w skład legjonów, ale był tym, który przy boku wodza naczelnego wiecznie mu sprawę Polski i jej dzielnych żołnierzy przypominał. Obecnie ruszał z Bonapartem do Egiptu, by zyskać tam sławę, a znaleźć grób.

Legja pierwsza stała już od dłuższego czasu w Rzymie. Cała rzeczpospolita rzymska przepelniona była bandami rozbójniczymi i szerzyły się w niej powstania ludowe. Żołnierzy naszych gnębił ukryty wróg, choroby i wyziewy bagien. Najgorzej było na południu, gdzie rzeczpospolita sąsiadowała z królestwem obojga Sycylii¹⁾. Rząd był tam ciemny i niedołężny, a podburzany ciągle przez Anglię i Austrię przeciwko Bonapartemu. Austria wysłała tam nawet swe wojska z generałem Mack'iem na czele, by, korzystając z nieobecności Bonapartego, pobić armję włoską i zagarnąć rzeczpospolitą rzymską. Oczekiwała więc legjonistów z pierwszej legji walna przeprawa z wojskiem austryjackiem i Neapolitańczykami.

W listopadzie 1798 r., mimo męskiej obrony Polaków i Francuzów, Rzym dostał się w ręce Neapolitańczyków. Ci obeszlili się okrutnie z mieszkańcami miasta. Mordowano nawet chorych i rannych po szpitalach. Ale niedługo cieszyli się okrutnicy zwycięstwem. Legjoniści pod wodzą Kniaziewicza rozbili w kilku miejscach armję

¹⁾ Królestwo Sycylii i Neapolu.

neapolitańską. Zdobyto sztandary, tabory, jeńców. Generałowie francuscy ze zdumieniem patrzyli na męstwo Polaków, walczących zdala od ojczyzny, w nie swojej, zda się, sprawie. Nie rozumieli, że przez każdą pożogę i gwar bitwy legjonista dostrzegał drogę do kraju, że ginał, marząc o wolności. Armja francuska wkroczyła znowu w tryumfie do Rzymu. Nie poprzestano na tem, pędzono ku granicy neapolitańskiej niedobitki wrogich oddziałów. Dąbrowski i Kniaziewicz, idąc w przedniej straży, otaczali armje wrogie, zdobywali twierdze, idąc w zwycięskim pochodzie pod Neapol. Pierzchały w popłochu tłumy Neapolitańczyków i oddziały pomocnicze austriackie. Śmiały się z radości twarze dzielnych wiarusów polskich. Obiegał dowcipny wierszyk szeregi: „Francuz z Polakiem zjedli makarony z makiem“. Rzeczywiście, „makarony“ neapolitańskie uciekały przed zwycięskim wojskiem, a wódz ich nieszczęsny, generał Mack, sam oddał się do niewoli, przerażony rozsypką swego wojska.

Pod Neapolem napotkano jednak nieprzewidziany opór. 100 tysięcy „lazzaronów“, rozbójników włoskich, uzbrojonych w noże i kije, napadło na wyćwiczone i sprawne szeregi wojska francuskiego i polskiego. Walka z nimi krwawa i uciążliwa utrudniła pochód, ale dotarto wreszcie w tryumfie do Neapolu.

Jedno z najpiękniejszych miast świata, białe, marmurowe, w falach błękitnego morza skapane, witało radośnie zwycięzców. Wkroczyły do miasta wojska polskie. Dziwnem wydało się wiarusom polskim to miasto, tak do ojczystych stron niepodobne, wieczną wiosną ukwiecone. Zdawało im się, że do ojczyzny swej przejść muszą przez piekło bitew i raj odpoczynku pod włoskiem niebem, by jednak stwierdzić, że „przecie nasza polska ziemia najpiękniejsza“.

Włochy całe dzieliły się wówczas na dwa stronnictwa, wzajemnie walczące ze sobą. Garstka uczonych, literatów, artystów, ludzi oświeconych i wykształconych marzyła o wyzwoleniu się z pod dawnych rządów, ciemnych i ogłupiających lud, o sojuszu z Francją i Napoleonem. Część mieszkańców Neapolu, używiona temi uczuciami, witała uroczyście wkraczające pułki Rzeczypospolitej francuskiej. Stronnictwo przeciwne, rządowe, związane umowami z Anglią i Austrią, walczyć chciało do ostatka z wojskami francuskimi i do walki tej zagrzewało ciemny i fanatyczny tłum lazzaronów.

W chwilach zajęcia Neapolu zwycięstwo było po stronie nielicznej, oświeconej garstki przyjaciół Francji.

Rozpoczęły się dni tryumfu i upojenia. Całe prawie Włochy wolnością oddychały. Rzeczpospolita francuska nie ujarzmiła w owe lata podbitych ziem, lecz tworzyła z nich niepodległe Rzeczypospolite, budząc w obywatelach poczucie, że są wolnym ludem włoskim, który nie powinien podlegać woli Austrii, czy agentów angielskich.

Zrozumieli Francuzi, że ostatnie zwycięstwa zawdzięczają głównie męstwu legjonów. Wódz armji francuskiej polecił Kniaziewiczowi, by zawiózł do Paryża rządowi Rzeczypospolitej zdobyte sztandary. Chciano tym sposobem oddać hołd zasłudze Polaków.

Kniaziewicz z garstką wybranych legjonistów stanął w marcu przed rządem francuskim. Przy wręczaniu sztandarów powiedział doń minister wojny:

„Miło jest naczelnemu wodzowi zaliczyć w poczet bojowników, którzy z nim współdziałali, i mnie wymienić jest miło walecznych Polaków, którzy biją się pod sztandarami naszymi; konduita¹⁾ ich dowodzi, że nie brakło im ani zdolności, ani

¹⁾ Zachowanie się.

też odwagi dla zachowania ojczyzny, i że godzi się znaleźć wśród nas ojczyznę i wolność! “

Czyny legjonów zaczynały zdobywać sobie coraz większą sławę, niecąc w kraju otuchę i nadzieję, w obcych podziw i szacunek.

Od północy posuwała się silna armja austriacka. Legji drugiej przypadło w udziale spotkać się z nią w pierwszych krwawych bitwach. Szli żołnierze do boju z otuchą i nadzieją, że uda im się może przetrzeć na tyły wrogiej armji i przez obcy kraj przetrznąć do ojczyzny. Bili się, jak lwy.

Jednak generałowie francuscy nie posiadali talentu Bonapartego. Gdy ten zdala od Europy przebiegał z garstką żołnierzy piaski Egiptu, we Włoszech działo się coraz gorzej. Armja austriacka posuwała się w głąb kraju, podbijając go nanowo. Każdej piędzi ziemi bronili walecznie legjoniści, wiedząc, że tym razem zwycięstwo rzeczywiście im może otworzyć drogę do ojczyzny. W krwawej bitwie pod Legnano, w dniu 26 marca, odznaczył się szczególnem męstwem kapitan Rymkiewicz. Bitwa była przegrana, Francuzi cofnęli się, a tylko polskie bataljony wytrzymały do ostatka, osłaniając odwrót towarzyszy broni. W walkach o Weronę znowu odznaczyli się legjoniści, obficie krwią swą zraszając włoską ziemię. Padł tu śmiertelnie ranny dzielny Rymkiewicz. Był on opiekunem żołnierzy na wygnaniu, a w boju jednym z najodważniejszych wodzów. Żołnierze kochali go, jak ojca. Poeta Godebski uczcił śmierć jego wierszem:

„...Stawają mi przed oczy Rymkiewicza cienie.

Czytam ten zarzut w jego surowej postaci:

„Żal niegodnym jest hołdem dla mężnych Twych braci!“

Pomnę, kiedy w nieszczęsnej pod Legnano stracie

Los mi kazał, prócz innych, płakać śmierci w bracie,¹⁾

„Łza w boju żołnierzowi rzecz — nie przystoi —

A wskazując na rotę — to są bracia w twoi!“

¹⁾ Pod Legnano zginął brat Godebskiego.

I czuli się braćmi ci żołnierze-wygnańcy: Cierpieli nad śmiercią towarzyszy. W pierwszych bitwach z Austryjakami padła na placu boju prawie połowa legji drugiej. Resztki zostały odesłane do Mantui. Jakie smutne było wkroczenie do tego miasta, które było kolebką legjonów! Dwa lata zaledwie minęło od czasu, gdy wódz wzywał żołnierzy, by stąd, z ziemi włoskiej, rozpocząć marsz zwycięski do ojczyzny! Przez dwa lata nie zbliżono się do niej ani na krok jeden, a tysiące towarzyszy legło na pobojowiskach. Lała się krew polska, od Neapolu przez Rzym, Lombardję, aż po śnieżne Alpy. Ale nadzieja nie opuszczała szeregów. Wkraczały wszak w mury Mantui nie jakieś oddziały ochotnicze, ale szczątki armji, wstawionej już męstwem i bohaterstwem. Słał rząd francuski słowa podziwu i uznania. Przed dwoma laty mało kto myślał o zamordowanej Polsce, dziś, dzięki orężowi legjonów, w całym świecie było o niej głośno.

Obie legje jak gdyby pragnęły prześcignąć się w męstwie. Ledwo ucichło echo walk legji drugiej na północy, w marcu i kwietniu toczonych, a już do uszu smutnych rozbitków w Mantui nadbiegły wieści o zwycięskim pochodzie legji pierwszej pod Dąbrowskim. Siły jej wzrastały przez ciągły napływ ochotnika. W dniu 3 maja wkroczyła ponownie do Rzymu. Rok cały minął już, odkąd przebywała na południu, niosąc zwycięskie sztandary. Rok walk krwawych i nieustannych w precudnych okolicach świata. Pod upalnym słońcem przebiegali legjoniści tysiąc-krotnie puste doliny okolic Rzymu, wszędzie tropiąc buntującą się ludność. Walka z ukrytym wrogiem trudna była i niebezpieczna. Oprócz tryumfu i chwały przynosiła wyczerpanie i znużenie. Zmęczone piekącym słońcem oczy żołnierzy z tęsknotą spoglądały ku północy. Nareszcie przyszedł rozkaz do wymarszu. Ruszono po-

śpiesznym pochodem ku Florencji, staczając ciągle krwawe potyczki.

Niedługo trwał postój w rozkosznej Florencji, mieście kwiatów. Poszła legja walczyć w wąwozach gór apenińskich z bandami rozbójniczymi. Maj cały minął na uporeczywych walkach. Przebiegali wzgórza i doliny, by ginąć od kul rozbójników, ukrytych w załamach skalnych. Niebawem ważniejsze zatrudnienia powołają legję pierwszą na pole boju.

Jak burza, lawina śnieżna, spadał z Alp olbrzymi korpus moskiewski pod wodzą groźnego Suworowa. Szła Moskwa na pomoc Austrii i sprzymierzonym. Znowu mieli się zetknąć Polacy z moskiewskiem żołdactwem po czterech latach pokoju. Płonęły gniewem i ogniem zapału serca żołnierzy na dźwięk imienia Suworowa. Zdawało im się, że widzą okropne obrazy rzezi Pragi. Zemstą płonęły oczy.

A wojska sprzymierzonych przekroczyły już granice Lombardji. W kilku bitwach rozbito opór Francuzów. Suworow wkroczył do Medjolanu, posuwając się ciągle zwycięskim marszem. Ze wszech stron ściągają Francuzi posiłki przeciw nowemu wrogowi.

Rozkaz jen. Mackdonalda wzywa Dąbrowskiego z legją pierwszą na pomoc. W dniu 17 czerwca rozgorzała wielka bitwa nad rzeką Trebbią. Ruszają do ataku pułki polskie z głuchą myślą w sercu: „pomścić Maciejowice“. Jak lwy, rzucają się na wroga, wytrzymują najkrwawsze ataki, Dąbrowski sam na czele rusza w ogień, dwukrotnie otoczony przez wroga, ma dostać się już do niewoli, ale zostaje odbity przez dzielnych wiarusów. Ginie wielu oficerów. Kilku dostaje się w ręce Moskali i Austryjaków. Daremne wszelkie wysiłki Polaków i Francuzów! Daremne męstwo bohaterów! Po trzech dniach morderczej bitwy wojska francuskie cofają się gwałtownie. Połowa armji stracona. Legja uchodzi ku Nicei. Przetrze-

bione bataljony gnębi nędza, głód i rozpacz. Dzięki staraniom Dąbrowskiego, udaje mu się ocalić przed rozbiem około 2,500 żołnierzy. Ale nadzieja opuściła już szeregi. Czekano wieści o szczątkach legji drugiej, by połączyć się ze sobą i wspólnie pomyśleć o dalszych losach.

Po walkach marcowych i kwietniowych legja druga, zmniejszona do połowy (1,000 żołnierza), stała załogą w Mantui. 11 kwietnia oblegli Austryjacy twierdę. Otaczały ją jeziora i bagniska, które utrudniały wrogom dostęp, ale wyziewy ich działały zabójczo na mieszkańców i żołnierzy. Głód i febra poczęły gnębić obrońców. Najdzielniej trzymała się legja polska, jaskrawo odbijając swą wytrwałością i męstwem od wymęczonej załogi włoskiej i francuskiej. Ona jedna zdobywała się na awanturnicze, a zawsze zwycięskie wycieczki poza mury twierdzy. Artylerja polska pod szefem Aksamitowskim największe szerzyła straty we wrogich szeregach. Minęły trzy miesiące oblężenia. Generał francuski, komendant twierdzy, postanowił się poddać. Z przerażeniem usłyszeli o tem legjoniści. Dla nich dostanie się w ręce Austryjaków oznaczało śmierć.

Nadszedł dzień wymarszu z twierdzy. Francuzi oddalali się do ojczyzny. Polaków wydano w ręce wrogie. Lipcowym rankiem przekraczali mury Mantui legjoniści. Widziała ona ich pierwsze ćwiczenia, teraz oglądała grób ich wolności.

„Zadowoleni, że mogą nasycić się zemstą, nie czekali nawet Austryjacy, aż oddział polski broń złoży na stokach twierdzy; rzucili się na nie-szczęśliwych, jak sępy zgłodniałe na żer; wrywano żołnierzy z szeregów, za włosy wleczono po ulicach miasta, porywano wszystkich, dezertów i nie dezertów; poszarpano sztandar; nie uszanowano oficerów, zasypując ich obelgami i zniewagami...” Żołnierzy przepędzono przez kije. Uratować się zdołało zaledwie 150 ludzi,

których ocalił Aksamitowski i odprowadził do Dąbrowskiego.

Taki był koniec sławnej legji drugiej, tej, nad której wykształceniem pracowali patryjoci, tej, której nie dane były zwycięstwa, ale która męstwem swem nie zrobiła ujmy imieniowi polskiego żołnierza.

Z rozpaczą przyjęli wieść o losie towarzyszy broni żołnierze legji pierwszej. Słońce legionów zdawało się zachodzić na zawsze.

Znowu porwano legję pierwszą na pole boju. Brała udział w nieszczęśliwych potyczkach i bitwach armji francuskiej. Wśród ogólnych klęsk nie ściągnęła na siebie ani jednego zarzutu. Wszędzie pierwsza, z pola bitwy schodziła ostatnia, osłaniając odwrót sprzymierzeńców. Na czele jej stał Dąbrowski, własną pierś nadstawiając na kule. Chciał dowieść żołnierzom, że nie żal ginąć z imieniem Polski na ustach. A kule, jakby przeczuwając, że przyjdzie mu jeszcze świetną rolę odegrać, oszczędzały wodza bohaterskiej garstki.

W pierwszej nowej zwycięskiej bitwie Francuzów pod Novi, w dniu 6 listopada, odznaczyła się znowu legja pierwsza, przechylając szalę zwycięstwa.

Ale rozpaczliwe męstwo nie zdołało już dodawać otuchy legionistom. Nadeszły chwile, kiedy zdawało się, że gaśnie wszelka nadzieja. Nędza tymczasem i głód trwały. Rząd francuski był bez pieniędzy. Pułki, rozbite klęskami, marniały. Brakło kogoś silnego, ktoby mógł uchwycić ster rządów, armję do zwycięstw poprowadzić, rzeczpospolitą francuską uratować.

Brakło Bonapartego.

Ten walczył w Egipcie. Ale i jemu przestała na chwilę przyświecać zwycięska gwiazda. Okręty zdobyli Anglicy, żołnierzy gnębił upał, zmęczenie, Turcy, a przede wszystkim mieszkańcy Egiptu, Mamelucy. Ich hordy rzucały się na woj-

ska francuskie i mordowały je bez litości. Nie znali sztuki wojennej, nie mieli broni, ale miotała niemi wściekłość na tych najeźdźców północy. Z za murów miast, z za krzewów, złomów skalnych, wzgórków piaszczystych spadały zatrute strzały i siało postrach w szeregach francuskich.

Wśród oficerów Napoleona odznaczał się męstwem Józef Sułkowski. On to w świetnym ataku zdobył twierdzę na wyspie Malcie, on pierwszy stanął na murach Aleksandrji, stojącej na straży Egiptu. Wszędzie był pierwszy i najwaleczniejszy. Z Kairu nadeszły wieści, że wybuchło tam powstanie. Ruszył sam konno, by sprawdzić wiadomość. Zginął, zamordowany okrutnie przez powstańców.

Zginął zdala od kraju, on, który marzył gorąco o jego wolności, który myśli te podsuwał wiecznie wielkiemu wodzowi. Był jakby strażnikiem spraw naszych przy Bonapartem. Zabrakło go, gdy tułacze-legjoniści wracali do ojczyzny.

Wyprawa do Egiptu skończyła się klęską. Bonaparte sam powracał do Francji, wzywany przez rząd. Poczuli Francja, że w nim ma jedyne go człowieka, zdolnego ją ratować. Odżyło serce żołnierzy, witających znowu swego wodza.

Dąbrowski i legjoniści nową zapłonęli nadzieją. Może wielki wódz raz jeszcze dłoń im pomocną poda? Może nie wszystko stracone?

Domagała się tego krew poległych żołnierzy, by sprzedać ją jak najdrożej, by nie dać zmarłych duszom żałować, że zginęli bez celu, że śmierć ich nie wraca życia ojczyźnie.

Zadaniem Dąbrowskiego i garstki pozostałych stać się miało wyzyskanie męstwa i bohaterstwa, poruszenia spraw ojczystych przed światem.

Należało też pomyśleć o losie tych, co żyli jeszcze, tych, co z kraju gotowi byli pośpieszyć na każde wezwanie, tych, co jęczą w niewoli.

Gdy wódz myślał przebiegał dwa lata minionych trudów i znojów, z radością widział, że nie

zawiódł się na swym żołnierzu. A choć nieraz rozpacz wdierała się w szeregi, choć nadzieja powrotu do ojczyzny nikła kilkakrotnie, jak zjawia, by znowu na krótko zabłysnąć, żołnierze wytrwali.

Za tę wytrwałość ich, za męstwo należała się nagroda. A najwyższą dla nich nagrodą była nowa służba dla ojczyzny. O użycie ich znowu dla sprawy polskiej starać się począł niestrudzony Dąbrowski.

LEGJON NADDUNAJSKI.

Z chwilą powrotu Bonapartego do Paryża wzięto się energicznie do pracy. Wiedzieli Polacy, przebywający w stolicy Francji, że legjony są zniszczone, że należy je świeżą pokrzepić nadzieją. Z kraju nadbiegały wieści o ochotnikach. Tryumfalny marsz Bonapartego przez Alpy w głąb Włoch północnych zdobył nową liczbę jeńców polskich. Zawrzały narady w Paryżu. Wszyscy zwracali oczy na Naczelnika Kościuszkę. Ten zbierał u siebie gorętszych patryjotów i wspólnie z nimi układał projekty.

Ostatecznie postanowiono przystąpić do ponownego przetworzenia legjonów na świeżych prawach.

Rzeczpospolita cisalpińska nie istniała już od kilku miesięcy. Umowa, z nią zawarta, upadała. A legja pierwsza stała wynędzniała w Nicei i oczekiwała poparcia. Po porozumieniu z Dąbrowskim zażądano od rządu francuskiego, by przyjął na żołd swój i utrzymanie legję pierwszą, jako oddział posiłkowy polski. Uzyskał też Dąbrowski pozwolenie na zwiększenie legji do 7 bataljonów piechoty i 8-go artylerji. Plac zboru naznaczono w porcie Marsylji. Nadciągały zewsząd tłumy ochotników i jeńców austrijackich.

Witano z radością dawnych towarzyszy, straconych, zdawało się, wraz z Mantuą. Wiosna 1800 roku niosła wraz z ciepłym wiatru podmuchem radosne wieści. Napoleon pobił Austryjaków pod Marengo. Znowu zajaśniał oręż francuski, który miał Polaków poprowadzić do wyzwolenia ojczyzny.

W starym porcie marsylskim gromadziły się coraz to nowe zastępy. Zaopatrzone w broń i mundury, odbywały one codzienne ćwiczenia. Ostatnie przybyły tu szczątki legji pierwszej, która aż do tej chwili walczyła w górach z oddziałkami wojsk austriackich. Ze wzruszeniem spotykali się tu dawni towarzysze broni, podnieceni myślą, że coś nowego się szykuje.

W tym samym czasie, w myśl życzeń Kościuszki, tworzono legję drugą. Została ona przydzielona do armji francuskiej naddunajskiej, mającej wyruszyć na Wiedeń poprzez Moguncję i Bawarię i uderzyć Austrię w samo serce. Legjon, tworzony przy niej, otrzymał nazwę „Naddunajskiego“, w odróżnieniu od legji włoskich. Komendantem jego został Karol Kniaziewicz, dawny szef legji pierwszej włoskiej.

Pierwsze oddziały tworzyć zaczęto nad Renem, w okolicach twierdzy Strasburga. W skład tego legjonu wchodziły przeważnie siły młode, ochotnicze, którym nieznany był jeszcze zgielek i gwar bitewny. Przeważnie przybywali oni z Wielkopolski, bo droga przez Prusy i Niemcy dość jeszcze bezpieczna była. Prócz ochotników uzupełniali szeregi zbiegowie z armji austriackiej, jeńcy wojenni rosyjscy i austriacy. Oficerami tych szeregów byli przeważnie ci, którzy już odbyli dwuletnią walkę w legjonach włoskich. Szeregi żołnierskie ożywione były jak najlepszym duchem. Nie przeżywały one tych rozczarowań i zawodów, które wycierpieli legjoniści we Włoszech. Nie wiedzieli, co to jest iść długim i męczącym marszem ku ojczyźnie, by wra-

cać potem z opuszczoną głową i rozpaczą w sercu. Im śniła się jeszcze radosna przyszłość: krwa-
wa, ale krótka walka i powrót do wolnej Polski. Nucili z zapalem mazurek Dąbrowskiego, wyczu-
wając w nim tę radość, jaka ożywiała szeregi
włoskie, w chwili, gdy po raz pierwszy echo im
tę nutę przyniosło. Przeżywali jakby po raz dru-
gi na nowo sen legjonu włoskiego.

Już w listopadzie 1799 r. stało pod bronią
2 tysiące żołnierzy.

Przywitał ich Kniaziewicz słowami:

„Nie wątpię, że każdy z nas, zostając w na-
dziei powrotu i służenia ojczyźnie, starać się bę-
dzie tak swego czasu użyć, aby jej mógł stać się
najużyteczniejszym“.

Pracował znowu nad żołnierzami Wybicki,
opowiadając im o świetnych czynach włoskich
legjonistów, o ojczyźnie odległej, o tęsknocie
tych, co w kraju w niewoli żyją. Był z kolei tym
najmłodszym żołnierzom ojcem i opiekunem.

W ciągu kilku miesięcy legjon wzrósł w siły.
W maju liczył już 5 tys. żołnierza. Narazie zaj-
mowano się tylko wyćwiczeniem żołnierzy, umun-
duowaniem, uzbrojeniem.

Pierwsze starcia były to drobne potyczki, sto-
czone w kraju nadreńskim z... własnymi rodaka-
mi. Do szalonej wycieczki przez Niemcy nad gra-
nice samej Francji użyła Austria ułanów galicyj-
skich. Był to jeden z pierwszych faktów w dzie-
jach Polski, że rodacy z bronią w ręku stawali
przeciwno sobie, w dwu wrogich służąc armjach.
Jakże często miał on się potem powtarzać!

Po bitwie zwycięskiej pod Marengo, stoczonej
przez Napoleona i wojska francuskie, Austriacy
poczęli się cofać na wszystkich frontach. Fran-
cuzi przeszli do ofensywy. Ruszyły też do boju
oddziały polskie. Dwa wyćwiczone już bataljony
legjonu pod wodzą Sokolnickiego posuwały się
wzdłuż biegu Renu do Moguncji. Walki mia-

ły toczyć się w okolicach ujścia Menu, dopływu Renu¹⁾).

Już w dniu 5 lipca wzięły bataljony polskie atakiem na bagnety dwie miejscowości. Pierwszy chrzest ogniowy przetrwały mężnie. Sokolnicki walczył ze swymi oddziałami na prawem skrzydle armji francuskiej, na lewe przybył niebawem Kniaziewicz z resztą legjonu. W dniu 12 lipca rzucił Kniaziewicz swoją garstkę na armaty nieprzyjacielskie. W mgnieniu oka zostały opanowane. Jednocześnie na prawem skrzydle, gdy Francuzi cofać się zaczęli i ustępować placu, Sokolnicki rozstrzygnął o zwycięstwie. Gdy zobaczył załamujące się szeregi francuskie po drugiej stronie Menu, skoczył na spienionym rumaku w nurty rzeki, wzywając żołnierzy za sobą. Z okrzykami uniesienia przebyli legjoniści fale, by na drugim brzegu mocnym atakiem na bagnety odeprzeć wroga. Na czele pierwszej kompanji szedł poeta Cyprjan Godebski.

Bitwa ta zmusiła silną twierdzę Frankfurt do poddania się. Rozgrzani pierwszym zwycięstwem, żołnierze ruszyli pod nową twierdzę i brali udział w jej oblężeniu. Po zdobyciu jej wysłano legjon do strzeżenia krajów, zajętych przez Francję od Renu po starożytne Monachjum²⁾). Był to pierwszy odpoczynek żołnierzy po krótkich, ale krwawych i męczących walkach. Legjoniści przeżywali najpiękniejsze chwile wojenne. Pełni byli wiary i otuchy, radośni, że oto zbliżyli się trochę do kraju, nie złamani jeszcze walką, syci, dobrze odziani. Przybywa 3 bataljon, wyćwiczony świeżo przez Kniaziewicza, żołnierze przeważnie młodzi, zapaleni, ochotnicy, oficerowie wykształceni, zdolni, troskliwi o podwładnych. Ze stu trzech oficerów, czuwających nad 3 bataljonami legjonu, zaledwie trzynastu jest takich,

¹⁾ Południo-zachód dzisiejszych Niemiec ²⁾ Miasto w Bawarii, w Niemczech.

co pierwszy raz w walkach biorą udział. Reszta to wszystko legjoniści włoscy lub dawni podwładni Kościuszki.

Od najwyższego wodza do najmłodszego z żołnierzy każdy rozumiał, po co w legjonie służy i za co walczy. Aby lepiej jeszcze żyć się z żołnierzami, przywiązać ich do sprawy polskiej, wytłómaczyć im, co jest dobre dla ojczyzny, zakładali oficerowie tajne związki wśród żołnierzy. Łączyli się w nich dowódcy z szeregowcami, dając się wspólną nazwą: „bracie“. Ważne sprawy narodowe były omawiane naprzód w związku. Udzielano żołnierzom wiadomości z rodzinnego kraju, z Francji i ze świata.

Tłómaczono legionistom, jak ważną rzeczą jest karność i posłuszeństwo wobec przełożonych. Wytwarzało się prawdziwe zespolenie wszystkich w braterstwie i przyjaźni. Tajność związków miała im zapewnić bezpieczeństwo wobec rządu i komendy francuskiej.

Tygodnie mijały na owym odpoczynku w cudnych okolicach Renu. Od sierpnia do listopada stoi legion w spoczynku. Trudno jednak utrzymać żołnierzy w porządku. Mimo silnej komendy, mimo tajnych związków i rozbudzonych nadziei, żołnierze burzyć się zaczynają. Oto mijają długie miesiące postoju, oto armja francuska kroczy naprzód, oto znów Bonaparte zawiera parotygodniowe zawieszenie broni, a o Polsce, zda się, nikt nie mówi i nie myśli. Czują żołnierze, że tam w kraju oczekują ich przybycia stęsknione rodziny, oczekują obywatele-patryjoci wkroczenia wojsk polskich.

Rozumiał to Sokolnicki, w zastępstwie Kniaziewicza sprawujący obowiązki wodza. W rozkazach swych do wojska starał się wlewać w nie otuchę i nadzieję:

„Odważa żołnierzy naszych, i Francuzom i światu całemu już dobrze wiadoma, ma zachęcić tychże do zgody umysłów i jedności zobopólnej, do

stałości dłuższego walczenia przeciwko największym nieprzyjaciółom naszym z tą odwagą, zapalem i sławą, której tysiączne już dali dowody. Wszakże pokój blisko już spodziewany... przynieść może w zysku i nagrodzie radość najwyższą, iż powrócimy na łono ojczyzny ukochanej z bronią w rękę zwycięską i słuszną zemstą na ruinach tyranji wolnem będziemy oddychać powietrzem“.

Zdawało się, że po ostatnich zwycięstwach Napoleona, po odzyskaniu północnych Włoch i zdobyciu południowych Niemiec, Austria ustąpi i zawrze korzystny dla Francji pokój. Ale stara monarchja bronić się jeszcze chciała. W listopadzie wszczęto na nowo kroki wojenne.

11 listopada opuszczali legjoniści swoje kwatery. Drogę do oznaczonego punktu odbyto w ciągu sześciu dni, podczas nieustannego, ulewnego deszczu. Legjoniści szli w płóciennych ubraniach, butach zupełnie przez błoto zniszczonych. Jednak wytrwali. „Zapał, jaki ożywia żołnierza-Polaka za każdym razem, kiedy idzie naprzód, sprawił, iż zniósł on mężnie trudy śpiesznego marszu w najgorszym czasie i po najgorszej drodze. „Są pośród nas chorzy i cierpiący: niema, co by się skarżyli“ — pisał do zwierzchnika Sokolnicki.

Niebawem przyłączył się do szeregów Kniaziewicz i dalej wiódł legjon do boju. W bojowym szyku przybyli żołnierze do Monachjum i zostali włączeni do korpusu generała francuskiego Moreau. Od strony Wiednia posuwała się olbrzymia, 130-tysięczna armja austryjaska. Miała ona zamiar wyrzucić Francuzów poza granice Niemiec i rozpocząć ofensywę na ziemi rzezypospolitej francuskiej.

Armja ta posuwała się przez ogromne lasy Hohenlinden. Bagna, wąskie ścieżki leśne, gąszcza i krzewy utrudniały ten pochód. Moreau posunął się pod sam brzeg lasu. Otoczono w chwil kilka uwięzłe w błotach wojska austryjaskie. Na

lewem skrzydle drożynami leśnymi przemykali się polscy legjoniści. Trudno było przedzierać się przez rozrosłe listowie i paproć wysoką, ale nie zatrzymywało żołnierzy w pochodzie. Odznaczyła się szczególnie konnica polska. Porucznik Kostanecki z ośmiu ułanami wziął sześć armat austryjackich, strzelec konny, Pawlikowski, wziął sam do niewoli oddział 57 Austryjaków.

General Moreau po zwycięskiej bitwie posuwał się dalej w głąb Austrii. Radością zabiły serca legjonistów. Oto ów wymarzony marsz na Wiedeń! Stamtąd już droga do Galicji! Spełniać się zaczynały sny legjonistów włoskich, co teraz gdzieś na stokach Apeninu wależą.

Kroczył legion w przedniej straży, zajmując coraz bardziej na wschód położone okolice Austrii.

I nagle spadł grom, pierwszy zawód dla żołnierzy legjonu naddunajskiego: Bonaparte chce zawrzeć pokój!

Uderzyła ta wieść w polskie bataljony, niecałe postrach i zdumienie. Prawda, oczekiwano przed kilku miesiącami zawarcia pokoju, ale takiego, coby przyniósł odrodzenie Polski. Teraz nadchodziły głuche wieści o tem, że Napoleon pogodził się z carem rosyjskim, że sprawy polskiej poruszać nie myśli, by nie rozgniewać nowego sprzymierzeńca.

Zawrzało w szeregach. Kniaziewicz pisał do swej władzy o „gorącości“ umysłów, mówił, że „w przededniu blizkiego pokoju nie mogą pozostać obojętnymi Polacy, których miłość dla ojczyzny zjednoczyła pod sztandarami wielkiego narodu“! Daremne były te słowa. Daremne starania Kościuszki, Dąbrowskiego i innych. Dnia 9 lutego 1801 r. zawarł Napoleon pokój z Austrią w Lunewilu, bez żadnej wzmianki o Polsce i Polakach.

Rozpacz ogarnęła żołnierzy. Legion włoski, który pod wodzą Dąbrowskiego walczył z Austryja-

kami, nie chciał wprost wierzyć w zawarcie pokoju i rozkaz zaprzestania walki. Liczne, do 10 tysięcy zwiększone szeregi miały opuścić swe stanowiska i pożegnać marzenia o zwycięstwie. Z pomocą Wielhorskiego i Jabłonowskiego udało się Dąbrowskiemu podtrzymać ducha w legjonie i nie dopuścić do rozsyпки. Francja przysłała 8 sztandarów legji, jakby dla pocieszenia jej po owym nieszczęsnym pokoju. Rozdał je 8 bataljonom swym Dąbrowski, próbując wytłómaczyć żołnierzom, że przecie rząd francuski o nich pamięta i nie pozwoli na to, by krew ich marnie przelewana była. Wojsko rozmieszczono w Mantui i Toskanie, a główną siłę wziął ze sobą Dąbrowski do Medjolanu. Tu czekać miano dalszych rozkazów Bonapartego.

Gorzej działo się w legjonie naddunajskim. Brakło tu silnej i energicznej, a ukochanej przez legionistów dłoni twórców legjonów, Dąbrowskiego.

Kniaziewicz w miesiąc po bitwie pod Hohenlinden i na miesiąc przed pokojem lunewilskim opuścił swój oddział, by doń już nigdy nie powrócić. Złamały go nieszczęścia i zawody.

Legjonem opiekuje się od tej chwili Sokolnicki. W górzystych okolicach nad górnym Dunajem spędzić mieli żołnierze ową nieszczęsną zimę. Po radośnie przeżytym lecie i jesieni zatrzasnęło się nad nimi jakby ciężkie wieko grobu. Nadeszła sroga zima, nietylko dla natury. Zwarzyła kwiaty, drzewa — i nadzieje legionistów.

Kwatery ich rozłożone były nad rzeczką Krems, w małym miasteczku nad brzegiem zamieszkał Sokolnicki ze sztabem.

Okolice to pełne wspomnień dla Polaków. Gdy Jan III Sobieski bronił Wiednia, „tu huk wielkiej walki miał być słyszany“. W murze klasztoru widnieje kamień, złożony tu wtedy przez Polaków. Legjoniści więc w wędrówkach swych po świecie ciągle spotykają cień wielkiego króla. On

przed wiekiem przeszło bronił sprawy świata: chrześcijaństwa, przed obcym, pogańskim najazdem, teraz legjoniści bronią wolności we wszystkich krańcach Europy. Ale za Jana III walki jego z turecką nawałą nie przyniosły Polsce korzyści innych, prócz czci i szacunku, a legjoniści nie przestają wierzyć w to, że ich walka wróci życie ojczyźnie.

Mimo przygnębienia, jakie wywołała wieść o pokoju w Lunewilu, szeregi zwiększały się ciągle. Bliskość Galicji i wojsk austrijackich ułatwiała ucieczkę ochotnikom, nie żądającym nic, prócz „odmiany nieprzyjacielskich znaków, broni i płaszczów...” Pieniędzy jednak było coraz mniej i zabrakło nie tylko umundurowania i uzbrojenia, ale i żywności dla nowo-zgłaszających się.

Wskutek umowy z rządem austrijackim Francuzi obiecali wycofać wojsko z ziem austriackich. W końcu lutego nadszedł rozkaz do legjonu, nawołujący go do powrotu do Strassburga. Droga, odbyta z radością i nadzieją przed paru miesiącami, teraz wydała się o wiele dłuższą i cięższą. Nikt w szeregach nie nucił piosenek, czuli żołnierze, że z każdym krokiem oddalają się od ojczyzny. I kiedy dawniej marsz każdy legjonu odbywał się bez maruderów, teraz pełno było chorych i zmęczonych, coraz częstsze wypadki ucieczki.

W Strassburgu zatrzymały się oddziały, czekając dalszych rozkazów. Tu miano dopełnić bataljonów, umundurować je i uzbroić.

Tymczasem los legjonów został postanowiony.

W tajnym układzie cara rosyjskiego, Pawła, z Napoleonem Bonapartem car obiecał, że wypędzi wszystkich, spiskujących przeciwko rzeczypospolitej francuskiej ze swego państwa, wzamian za co Napoleon obiecał mu wypędzić z Francji wrogów Rosji, polskich legjonistów. Car dotrzymał słowa: krewni dawnego króla francuskiego i ich pomocnicy zostali wygnani z państwa rosyj-

skiego. Teraz przyszedł czas na Napoleona, by on z kolei dotrzywał obietnicy...

Ale co było robić z bohaterskimi legjonami, które walczyły w obronie Francji, pomogły do jej zwycięstw? Jakże dać im rozkaz wygnania? Postanowiono więc narazie usunąć je wszystkie z ziemi francuskiej na włoską i tam dopiero rozstrzygnąć o ich losach.

Legjon naddunajski otrzymał więc nagle rozkaz opuszczenia Sztrassburga i udania się przez Alpy do Toskanji, prowincji Włoch.

„Objawienia takowe zrobiły pomiędzy oficerami największe wzburzenie; zaczęli głośno i z największą goryczą wywoływać, że nie przybyli, jak Szwajcarzy, służyć za pieniądze, ale walczyli obok Francuzów w innym celu, a kiedy ten przy traktatach zapomniany, hurmem tedy do dymisji podawać się zaczęli“. Pierwszy podał się Kniaźwicz, za nim poeta Godebski i inni.

Tymczasem żołnierze bez ubrań ciepłych, bez butów i skąpo w żywność zaopatrzeni, musieli ruszyć w drogę.

Otaczał troskliwą opieką żołnierzy Sokolnicki. Wiódł ich krętymi drogami przez wąwozy i wzgórza Alp. „Idziemy zrozpaczeni — pisał do jednego z ministrów francuskich — bez pieniędzy, nieubrani, nieobuci, przeważnie pozbawieni broni. Pośród tych prób i cierpień, zmęczony, zniechęcony żołnierz się pyta: azali się stał obcym Francji samej? Przestraszony przyszłością nie śmie mierzyć głębokości przepaści, nad jaką kroczy; głuchy na tłumaczenia, skarży się na cierpienie swoje. Wszędzie mówią tylko o wsadzaniu na okręty, o dalekich wojnach... Cóż mam odpowiedzieć na skargi gorzkie, na codzienne wyrzuty, czynione mnie, jako sprawcy zła?“...

Jednak silna wola i szlachetność Sokolnickiego utrzymywały wojsko.

„Legjon szedł głodny, bosy i obdarty. Legjon znosił najcięższe cierpienia. Lecz szedł mężnie

ze starą piosenką żołnierską na ustach przez okryte lodem góry“.

W końcu wkroczone na ziemię włoską. Nie złączył się jednak legjon naddunajski z bratnim włoskim, stojącym pod komendą Dąbrowskiego w Medjolanie. Legjon drugi wysłany został do Florencji i wszedł w mury tego miasta w dniu 10 maja. Zadaniem jego miała być walka z bandytami gór Apenińskich.

Wielu z oficerów i żołnierzy nie mogło dłużej znosić tej hańby. Znowu posypały się podania o zwolnienie z szeregów. Wytrwali Dąbrowski, Wielhorski, Jabłonowski i inni. 25 maja wodzem legji naddunajskiej mianowany został generał Władysław Jabłonowski.

Minęło lato na trudnej i uciążliwej służbie. W skwarne i upalne dni musieli gonić legjoniści za rozbójnikami włoskimi, kryjącymi się w górach, lub pilnować wybrzeży morskich i bronić przystępu korsarzom. Jeden z bataljonów brał udział w oblężeniu twierdzy włoskiej na wyspie Elbie, ale duch już w wojsku upadał. Coraz częściej żołnierze opuszczali szeregi, dokuczał im głód i niedostatek. Wytrwali przez lat kilka, ale wyczerpała się siła i wytrzymałość z zagaśnięciem ostatniej nadziei.

Legjon naddunajski pełnił krótszą, niż włoski, służbę. Niespełna dwa lata miały, odkąd wyruszył z nad Renu. Ale lata te upłynęły mu w smutniejszych czasach. Służbę swą pełnił zdala od tego, którego najbardziej ukochali legjoniści... Dąbrowskiego.

SAN DOMINGO.

Pokój lunewilski zniechęcił i przygnębił wszystkich Polaków. Przestał wierzyć w pomoc Francji sam Naczelnik Kościuszko. Usunął się z Paryża, zamieszkał w małym miasteczku Szwajcarii, by

stamtąd śledzić dalsze dzieje legjonów. Widział on jednak, że ich krwawe wysiłki i przez 5 lat już staczane boje nie przyniosły dotąd żadnych dla kraju korzyści. Uwierzył, że krew, przelana przez nich, niczego Polsce nie dała, nie przeczuwał, że resztki tych samych legjonistów powrócą jeszcze kiedyś do Polski, by walczyć w jej obronie.

Za przykładem Naczelnika i inni tracić otuchę poczęli.

Ci, co mieszkali w Paryżu i bliżsi byli rządowi francuskiemu, jaśniej, niż inni, postrzegali koniec istnienia pierwszych legjonów.

Francja przestała potrzebować Polaków. Stali się jej nieużyteczni, a w stosunkach z Rosją nawet niewygodni.

Pod koniec roku 1801 Napoleon wydał rozkaz, mocą którego dwa legiony polskie (włoski i nadunajski) zostały zamienione na trzy półbrygady „cudzoziemskie“, wchodzące w skład wojska francuskiego.

Było to kresem istnienia legjonów. Zachwiali się nawet najwytrwalsi. Grupa oficerów z Wielhorskim na czele, z tych, co to przysięgli sobie „służyć dopóty, dopóki wolno będzie lancę i czapkę polską nosić — cudzego munduru na naszych grzbietach nikt nie zobaczy“, podali się do dymisji..

Reszta czekała rozkazu wodza Dąbrowskiego.

Ten, zrozpaczony klęską, czując, że na nim ciąży odpowiedzialność za stworzenie legjonów, starał się wszelkimi sposobami o zachowanie ich odrębności. Był przyjęty nawet osobiście przez pierwszego konsula rzeczypospolitej francuskiej, Napoleona, i przedstawiał mu sprawy legjonów. Opracował projekt, by dano pomoc legjonistom do opanowania kilku wysp greckich i stworzenia tam niepodległej rzeczypospolitej, skąd mogliby kiedyś powrócić do kraju. Miał na myśli stworzenie na morzu Śródziemnem malutkiej ojczyzny

dla wygnańców-tułaczy. Tu mogliby legjoniści wypocząć, uporządkować nowe bataljony, przywrócić karność i posłuszeństwo w szeregi. Ale Napoleon, choć uprzejmie przyjął wodza legjonów, nie przystał na jego projekty. Obmyślił dla Polaków inne zadanie.

Francja czuła się zwycięską w owym czasie. Po pokonaniu Austrii i Rosji zawarła z niemi korzystne układy. Pozostawał jeden jednak jeszcze groźny wróg do zwalczenia, była nim Anglja. Anglja, najbardziej znieawidzona przez Francuzów, najtrudniejsza do pokonania. Nie spotykano się z nią na lądzie, ale na morzu i w kolonjach była niebezpiecznym przeciwnikiem. Nie powiodła się Napoleonowi wyprawa do Egiptu, a miał tam zamiar silnem uderzeniem pobić Anglję i utorować sobie drogę do Indji. Tymczasem flota angielska zniosła do szczętu okręty francuskie i zniweczyła zamiary Napoleona. Coraz groźniejszą stawała się jej potęga na morzu i w kolonjach. Francja zaczynała powoli tracić obszary zamorskie, niegdyś do niej należące.

Jedną z takich utraconych kolonji, perłą wśród posiadłości francuskich, była wyspa San Domingo, leżąca na Atlantyku w stronie Ameryki środkowej. Wyspa to duża, górzysta, obfitująca w bogate kruszce i minerały, żyzna, bujną roślinnością pokryta. Toczyły się o nią oddawna walki między Hiszpanami, murzynami a Francuzami. Od paru lat wyspa była w posiadaniu Francji. Ale niebawem wybuchło tam powstanie murzynów, które po walkach morderczych odrzuciło opiekę Francji i poddało wyspę Anglikom.

Dla stłumienia owych buntów i odebrania Anglji „złotodajnego jabłka“ postanowił Napoleon wysłać na San Domingo najwaleczniejszą część armji francuskiej. Nie myślał on o pozbawieniu się tych żołnierzy, ale wyobrażał sobie, że będzie łatwem zadaniem stłumić bunty „jakichś tam głupich murzynów“.

Dowództwo nad 35-tysięczną armją francuską, złożoną z najlepszych pułków, oddał szwagrowi swemu, generałowi Leclerc'owi. W listopadzie 1801 r. odplynęła ta armja od brzegów rodzimej Francji, żegnana radośnie, jakby szła w tryumfalny pochód, nie na zagubę swoją.

Do wodza murzynów wystosowano słowa: „Kto się ośmieli buntować przeciw generałowi-kapitanowi, będzie zdrajcą ojczyzny, a gniew republiki¹⁾ pożre go tak, jak ogień pożera waszą zeschłą trzcinę“. Pułki francuskie wylądowały na wyspie, a w dwa miesiące potem nadeszła wiadomość, że potrzebne są posiłki, gdyż murzyni bronią się zaciekle i walczyć potrzeba o „każdą piędź ziemi“.

Na tę wojnę odległą postanowił wtedy Napoleon wysłać legjony polskie.

Pierwszym został wysłany waleczny generał Jabłonowski, szef legji naddunajskiej, obecnie 113-ej półbrygady francuskiej. Odplynął przed całym swym oddziałem w początkach maja. Pierwsi legjoniści wsiedli na okręty w porcie Livorno 18 maja 1802 r. Były to szczątki legji naddunajskiej, 2,300 oficerów i żołnierzy. Już w drodze na morzu Śródziemnem jeden z okrętów poszedł na dno i zginęło na nim stu żołnierzy. W drodze na oceanie zaczął ich już trapić nieubłagany wróg: żółta febra. Do San Domingo przybyli legjoniści za ledwie w początkach września. Mieli się tu spotkać z szefem legji, Władysławem Jabłonowskim, ale odrazu przy wyjściu z okrętów spotkała ich wieść żałobna. Dnia 30 sierpnia zmarł Jabłonowski nagle na żółtą febrę. Brał udział w walkach wojsk francuskich, odznaczając się męstwem i pogardą śmierci.

W parę godzin po wylądowaniu jeden z bataljonów legionowych bił się już z murzynami. W ciągu paru dni wszystkie trzy bataljony znalazły się

¹⁾ Rzeczypospolitej francuskiej.

w ogniu, a w ciągu tygodnia dwa pierwsze zdziesiątkowane zostały przez żółtą febrę, groźniejszą, niż nóż murzyna, bo nie dającą się pokonać.

Trzeci bataljon walczył w zdrowszej okolicy, ale w cięższych warunkach. W pierwszych walkach otrzymał rozkaz wyklucia tysiąca bezbronych murzynów. Odmówił żądaniu, twierdząc, że nie jest bandą morderców, ale wojskiem, które walczy tylko z uzbrojonymi. Zyskał tem sobie sympatję murzynów i niektóre z oddziałów obchodziły się łagodniej z Polakami, niż z Francuzami. Wogóle jednak niewola murzyńska gorsza była od śmierci na polu walki, lub nawet żółtej febrzy. Wycinano białych, palono ich żywcem, rznęto piłą... Powoli konały resztki wojsk wśród męczeństwa i chorób. Z rozpaczyny nad losem wojska zmarł nagle generał Leclerc. W listopadzie 1802 roku pozostało zaledwie 3 tysiące żołnierzy przy życiu, Polaków i Francuzów, ze wspaniałej 35-tysięcznej armji francuskiej i paru tysięcy posiłków!

We Francji szykowano nowe posiłki na ratunek walczącym niby, w rzeczywistości na zagładę.

Do tych posiłków włączona została połowa dawnego legjonu włoskiego, jako półbrygada 114.

W dzień Nowego Roku 1803 oddział ten opuścił ziemię włoską. Liczył on do 3 tysięcy ludzi. Nie przeczuwano zguby. Wojsko jechało z zapalem nawet, idąc „ratować“ dawną legję naddunajską.

W początkach marca wylądowali legjoniści na nieszczęsnej wyspie. Przywitano ich z radością. Ludzi do walki brakło, ci, co byli, żyli ostatkami sił i z dnia na dzień oczekiwali śmierci.

I znowu w pierwszych dniach po wylądowaniu legjoniści poszli w bój śladami legji naddunajskiej. Rozpoczęły się te same krwawe zapasy z murzyńskimi hordami i żółtą febrą. Murzyni walczyli pożarami, trucizną, torturami, nożem

dzida. Ale nie brakło im też broni palnej i siecznej, zdobytej na białych, lub dostarczonej przez Anglików. Kilku oficerów polskich, nie mogąc patrzeć na nędzę i męki żołnierzy, odebrało sobie życie. Resztki bataljonów legjonowych stanęły w miasteczku murzyńskim Cayes, fortyfikując je śpiesznie w obronie przed wrogiem.

Tymczasem nadciągał nowy wróg do San Domingo: Anglicy. Wyspa otoczona została ze wszystkich stron przez okręty angielskie. Wojska, dręczone z jednej strony przez murzynów, z drugiej znalazły się w żelaznym pierścieniu europejskiego wroga. Nie było już wyjścia z tego położenia. Resztki wojsk francuskich, po uporczywych walkach, toczonych aż do końca 1803 roku, zmuszone były poddać się Anglikom.

Ośmiuset legjonistów dostało się do niewoli angielskiej, czterystu do murzyńskiej. Zaledwie garstka z szefem Małachowskim dostała się przez Amerykę do Francji i kilkuset legjonistów, uratowanych wraz z francuską załogą jednej z twierdz wyspy.

Małachowski dotarł do Medjolanu i złożył Dąbrowskiemu ocalone sztandary 113-ej i 114-ej półbrygady. Tyle zdołali uratować legjoniści, dowodząc, że i w tym piekle walki z szatańskimi wprost potęgami zdołali ocalić honor Polaków. Nie zawiedli nawet na tej placówce, choć padło ich tam kilka tysięcy, zdala od kraju, pod obcymi znakami, za obcą sprawę.

OSTATNI LEGJONIŚCI.

Widok powracających z San Domingo rozbitków ostatecznie rozczarował i przygnębił wszystkich patrijotów. Dąbrowski nawet już myśleć nie mógł o ratunku. Po rozbiorze Polski w 1795 r.

można było snuć plany na przyszłość, teraz zda-
wało się, że wieczny mrok niewoli okryje kraj
na wieki, a szczątki legionistów utoną w morzu
wojska francuskiego.

Dąbrowski, w dowód uznania dla zasług i wa-
lecności, został mianowany przez rząd francuski
generalnym inspektorem kawalerji włoskiej. Nie
dane mu więc już było służyć pod polskim znakiem.

Resztki dawnych „półbrygad cudzoziemskich
113 i 114“ znalazły się w „bataljonie cudzoziem-
skim“ pod wodzą pułk. Grabińskiego. Oddział
ten wysłany został na samo południe Włoch, na
półwysep Apulję, by tam walczyć znowu z roz-
bójnikami włoskimi. Drobne oddziały, pozostałe
po innych „półbrygadach“ polskich, powcielano
wprost do armji francuskiej.

Taki był koniec „ostatnich legionistów“. Na
szczęście, nie tu był kres ich idei, nie tu właści-
wy koniec legionów. Powstaną nowe zastępy za
lat kilka, by znowu walczyć pod Dąbrowskim,
walczyć na ziemi swojej i w jej obronie... Pieśń
legionów przeniknie zwolna do kraju, by niecięż
zapął w pozostałych.

Będą chodzić wieści między ludem o tem,
jak to:

„jenerał Dąbrowski
z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski;
jak on rodaków zbiera na lombardzkim polu;
jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu,
i zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów
rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie
pachnące kwitną lasy: z legiją Dunaju
tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju“¹⁾.

A każda zasłyszana nowina im smutniejsza,
im tęskniej losy żołnierzy-tułaczy wysławia, tem

¹⁾ „Pan Tadeusz“ A. Mickiewicza.

gorętsze budzić będzie uczucia, tem szybciej serca zemstą słuszną zapłoną. Na ziemi polskiej oczekiwano ciągle przez długie i smutne osiem lat wkroczenia legjonów. Każde zwycięstwo Napoleona witane było radośnie. Zdawało się, że lada chwila ukazą się żołnierze Dąbrowskiego. Nasłuchiowano kroków z zachodu, dźwięku trąbki bojowej: „pono nasi biją w tarabany“, mówiono szeptem, by ech odległych nie głużyć. Tak było, gdy legja włoska szła w 1797 roku na Austryję, tak było, gdy z nad Dunaju doszły wieści o polskich żołnierzach w 1800 roku. Ale w chwilach, kiedy legjoniści z rozpaczą zawracali z drogi i szli z powrotem na południe i zachód, Polska okrywała się znakiem żałoby. Było tak, jakby dusza kraju i dusza legjonów napróżno się spotkać chciały, jak dwa smutne ptaki, co biją skrzydłami o druty klatki, by zerwać pęta i lecieć do siebie. Polska znosiła niewolę, tęskniąc do tych, co mieli jej przynieść światło wolności, do synów swych najukochańszych. Legjoniści kręcili się, jak w zaczarowanym kole, po cudnych ziemiach włoskich i francuskich, nie mogąc przekroczyć jakiejś niewidzialnej zapory. Nad krajem czuwały srogie rządy zaborców, krokami legjonów kierowała piękna, zwycięska, ale kapryśna i o sobie myśląca Francja.

Tak stanął niby mur nieprzebyty między legjonami i Polską. Obca przemoc każe im cierpieć i tęsknić; bagnety żołnierza polskiego przebije tę zaporę, powróci wygnańców ojczyźnie, zbudzi na chwilę Polskę żywą!





10754/1